

Święto Matahari Pendek było dużo mniej huczne od poprzedzającej go o półtora cyklu księżycy uroczystości Matahari Baru. Nie poprzedzał go post ani radosne oczekiwanie, zwykle nie szykowano też magicznych obrazów i fajerwerków. Choć akurat w tym roku władze Styragradu zadbały o nadspodziewanie uroczystą oprawę owego święta, dnia poświęconego drugiemu patronowi Styrii – Indrze.

Kapłani boga słońca uganiaли się w tym roku po świątyniach i ulicach, jakby wręcz czuli na własnych karkach palące spojrzenie arcykapłana Inubisa. Uszu przechodnia zewsząd dobiegał szelest drogich szat, natomiast w dzielnicy kapłańskiej aż oślepiął blask złota na zawieszonych wzdłuż ulic wstęgach. Sztandary uroczystości powiewały na najwyższych tarasach zigguratów, słyszało się też ostatnie nawoływania szykujących się na święto mieszkańców. Całe miasto z niecierpliwością wyczekiwało wieczornych uroczystości.

Jednakże to nie kapłańskie obrządki w zigguracie Indry były przyczyną owych wyjątkowych przygotowań. Nie dla boga szykowano złote wstęgi i kunsztowne szaty. Celem i powodem wszystkich tych manewrów była mająca się odbyć tuż przed zachodem słońca defilada wojskowa. Defilada, jakiej Styragrad dawno już nie widział.

Oddziały Tentara ledwo co powróciwszy z byłego frontu na północy, zaraz po święcie miały ruszyć dalej, na południe, ku nowej wojnie. Szeregi potężnych ulundo z kedua, czworoboki szkolonych latami pertama... Rzesza wiernych obrońców Styrii, którym Styria oddawała dziś hołd. Bo ta sama Styria broniona rapierami i szablami, chroniona potęgą bogini Tavar dobrze wiedziała, że wielu z tych lśniących galowymi mundurami żołnierzy już nigdy nie ujrzy swej ojczyzny.

Dziś jednak jeszcze mało kto myślał o dalekich południowych wojnach i odległej przyszłości. Dziś wszyscy oczekiwali jedynie demonstracji dumy i siły swej ojczyzny. Styria musiała dobitnie pokazać swym mieszkańcom, że kończy wojnę na północy z podniesioną głową. I że obroni się przed każdą nawałą.

Kyurem Loroniss westchnął cicho, cały czas czując niezaspokojoną irytację. To święto byłoby idealną okazją do przeprowadzenia kilku publicznych egzekucji! Niestety, władze Styragradu, mimo jego usilnych starań, nie wyraziły zgody na propozycję, by to przed oglądającymi defiladę mieszkańcami stolicy dokonać stracenia więźniów osądzonych i skazanych za morderstwo. A najgorsze, że stary Loroniss doskonale wiedział dlaczego.

Bez względu na swe zbrodnie, Sarien Hanar, ten bezczelny karierowicz z Ofiru, pozostawał bowiem kapłanem Tavar. A autorytet władz Styrii opierał się w dużej mierze na religii, na wierze w Panią i jej wybrańców. Publiczne stracenie duchownego nie wchodziło zatem w grę. Osłabiłoby jedynie i tak rozchwiane wojną morale. Loronissowie musieli więc zadowolić się egzekucją w kameralnym gronie, na jednym z pomniejszych dziedzińców pałacu książęcego.

Ów mały dysonans nie przeszkadzał jednak Kyuremowi napawać się chwilą tryumfu. Oto bowiem snuta od dobrych kilku lat intryga nareszcie dobiegała końca! Nareszcie, po tylu latach walki, ostatnia siła kwestionująca potęgę jego rodu nareszcie odchodziła w niebyt!

Niemalże od początku istnienia Nowej Styrii Loronissowie dążyli do zdominowania jej handlu, jej wojska, a nawet jej dworu. Dążąc do owego celu knuli, intrygowali, spiskowali i sprzymierzali się z niemal każdą siłą, jaka tylko mogła im pomóc. Pnąc się przez lata po szczeblach kariery, pozostawali wierni tylko dwóm rzeczom: swej ojczyźnie oraz pewnej wyjątkowo wpływowej organizacji. Z czego co do tej pierwszej nigdy nie można było być pewnym.

Wysiłek się opłacił. Mający zostać lada chwila stracony Sarien Hanar był ostatnim liczącym się członkiem opozycji. Teraz już praktycznie cała Styria była własnością Loronissów. Hetmani i kapłani mogli mieć te swoje zaszczytne tytuły. Ale to Loronissowie mieli pieniądze.

I nawet ów drobny prztyczek jakim była odmowa dokonania egzekucji na oczach ludu nie przeszkadzał Kyuremowi nacieszyć się widokiem śmierci swego arcywroga. Tu, na dziedzińcu hetmańskiego zigguratu, było to chyba nawet przyjemniejsze. Mógł bowiem z bliska spojrzeć w twarz przeciwnikowi tuż przed jego śmiercią. On, i jego rodzina.

Obejrzał się za siebie, by przeliczyć zgromadzonych. Obaj bracia, kuzyn, siostrzeniec, córka wraz z mężem... Niemalże cały ród Loronissów przyszedł zobaczyć koniec tego pyszałkowego karierowicza z Messyny. Przeszło piętnaście osób, samych zażartych wrogów Sariena Hanara, czekało na niedużym dziedzińcu oświetlonym popołudniowym słońcem. Czarne płaszcze spięte na ramionach zgodnie z najnowszą modą szeleściły cicho.

Defilada miała rozpocząć się za jakąś godzinę. Cień rzucany przez stojący pośrodku placu drewniany podest z pieńkiem katowskim wydłużał się coraz wyraźniej, a zarówno kat, jak i skazany, jeszcze nie przybyli. Oczekiwanie na egzekucję przedłużało się. Znudzona widownia już od dobrych kilku minut zastanawiała się, czy przypadkiem nie podano im złego terminu... Cóż, tyle dobrego, że Loronissowie na defiladzie mieli zarezerwowane miejsca w łoży. Nie będą musieli przeciskać się przez motłoch.

Skrzypnięcie bramy urwało niosący się po arkadowym dziedzińcu szmer dyskusji. Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę uchylonego przejścia prowadzącego do lochów. Ktoś nareszcie nadchodził! Kat? Skazaniec...? Wstrzymano oddechy. W ciszy, jaka zapadła, dało się słyszeć zza bramy narastający rumor. A już po chwili wychynęła zza nich pojedyncza, niska postać...

- Hobbit!? – zaskoczony Kyurem podrapał się po bokobrodach, jak to miał w zwyczaju, gdy coś go mocno zaskakiwało – To jakiś żart!?

Na dziedziniec wkroczył niziołek ubrany w pokutny wór. Oczy miał wlepione w ziemię, jakby pograżony był w bardzo głębokim zamyśleniu. Maszerował jednak szybkim, nerwowym krokiem.

- Mason! – rozległo się zza bramy kobiecy głos – Nie wybiegaj tak naprzód! Do mnie!

Hobbit zatrzymał się wpół kroku. Otwarł usta jakby chciał coś odpowiedzieć, jednakże jedyne co wydostało się z jego ust było pełnym bóleści westchnięciem. Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do wejścia na dziedziniec. Poruszał przy tym ustami, jakby chciał coś odpowiedzieć, lecz jakby z jakiegoś dziwnego powodu nie mógł tego zrobić.

Nim dotarł z powrotem do bramy, zdążyła zza nich wyjść kolejna postać. Na jej widok Loronissowie odetchnęli z ulgą. Nie, na szczęście nie był to kolejny głupi żart.

Khorani Akhala'beth była jedną z nielicznych kobiet-ulundo z odmiany Khor'zigira. Pani drzew wkroczyła powoli i majestatycznie na dziedziniec, ciągnąc za sobą długą, ciemnozieloną suknię przechodzącą płynnie w porastający jej ciało mech. Pożółkłe nieco listki spływające z jej ramion oraz głowy zdawały się tylko rozświetlać ją w promieniach grudniowego słońca.

Hobbit nazwany Masonem przystanął obok ulundki z pokutniczą miną, całkiem dobrze pasującą do jego ubioru, po czym ruszył już wolniejszym krokiem, zaraz u jej boku. Oboje kierowali się w stronę podestu przygotowanego na egzekucję.

Khorani'zigira oraz hobbit pokutujący najwyraźniej za jakąś przewinę wobec Bogini nie stanowili jednakże całego pochodu. Zaraz za ulundką na dziedziniec wkroczyły kolejne postaci, których przybycie poprzedził narastający szybko rumor. Pierwsze szeregi zebranych cofnęły się, gdy para potężnych, kamiennych istot z trudem przecisnęła się przez i tak pokaźnych rozmiarów bramę. Z każdym ich krokiem w powietrzu rozlegał się huk granitu uderzającego o bruk. Ich gigantyczne, masywne sylwetki sprawiały, że wyżłobiona na ich kamiennych ramionach swarzyca zdawała się jedynie drobnym defektem, zbędną wręcz formalnością. Nikt nie miał bowiem wątpliwości, że oto na dziedziniec wkroczyła Gwardia Wielkiego Hetmana. Besar Takut. Najpotężniejsze i najgroźniejsze twory Pani pod słońcem.

Minęła dłuższa chwila, nim Kyurem Loroniss dostrzegł maszerującą pomiędzy parą potężnych stworzeń postać. W zestawieniu z gigantycznymi ulundo człowiek ów wydawał się wręcz drobnutki. A przecież to on był w tym wszystkim najważniejszy.

Sarien Hanar, prowadzony na ścięcie, oskarżony o morderstwo kapłan, szedł dumny i wyprostowany, najwyraźniej nie chcąc dać po sobie poznać słabości.

Zaskoczeniem dla Kyurema było spostrzeżenie, iż skazaniec nie miał na sobie żadnych kajdan. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że przecież noszenie ich i tak nie miało sensu przy takiej obstawie. Przy jakiegokolwiek próbie ucieczki ulundo z Besar Takut wdeptałyby kapłana w ziemię.

- I jak, Hanar!? – rozległo się gdzieś zza pleców Kyurema – Już nie taki mocny w gębie, co!?

To musiał być Kerrom, brat Kyurema. Stary Loroniss westchnął z politowaniem, po czym spojrzął na brata karcąco. Doskonale rozumiał jego satysfakcję, sam ją też czuł... Ale takie uzewnętrznianie się było słabością. Zawsze i wszędzie.

Tymczasem skazaniec, ostentacyjnie zignorowawszy słowa Loronissa, wkroczył na drewniany podest. Eskortujące go Besar Takut zatrzymały się przed drewnianą konstrukcją. Ich wejście za mężczyzną niechybnie zakończyłoby się zawaleniem podestu, dlatego pozostawiły pilnowanie jeńca czekającej już nań ulundce oraz niziołkowi. Same tymczasem stanęły pomiędzy podestem a widownią, najwyraźniej pilnując spokoju egzekucji.

Nawet Kyurem nie był w stanie powstrzymać cisnącego się mu na usta uśmiechu. Już ledwie parę kroków dzieliło Sariena Hanara od pieńka! Cała intryga usunięcia przeciwnika politycznego zmierzała nareszcie do końca.

- W imię naszej Matki... – rozległ się w powietrzu dźwięczny głos ulundki – ...Matki nas wszystkich, patronki naszej Ojczyzny, Tej, na której ramionach wznosi się dwanaście mocarstw, Tej, która dała nam wolność i przyniosła nowe słońce! W imię największej z bogiń wszystkich światów, potężnej i niezwykłej, kochającej wszystkie swoje dzieci, Jedynej i największej, Matki naszej, Tavar! W zgodzie z prawem stanowionym przez Nią oraz Jej wierne dzieci, w zgodzie z jedynym prawdziwym i słusznym prawem tego świata, ku chwale naszej Matki, ogłasza się, co następuje...

Kyurem wstrzymał oddech, czekając aż ulundka skończy pauzę. Satysfakcja jaką czuł była wręcz szczeniacka. Ale przestawał się tym przejmować. Ten jeden raz mógł sobie pozwolić na nieskrywanie uśmiechu.

- Za intencjonalnie popełnione przewiny wobec Pani oraz przeciw jej ludowi – wznowiła po chwili khorani – Za kontaktowanie się z antyteistyczną, zbrodniczą organizacją zwaną Imperium, za działanie na szkodę Nowej Styrii oraz Pani Tavar w imię własnej korzyści politycznej i majątkowej, jak również za morderstwo kapłana Pani, Haarena Savita, zgodnie z wolą Dataranu, zostanie wykonany wyrok śmierci.

Uśmiech znikł z ust Kyurema. Coś tu nie grało... Jego intuicja zaczęła mu niemalże wrzeszczeć do ucha, że coś nie jest tak jak powinno być. Ale przecież wyrok się zgadzał... Skazaniec stał tuż przed pieńkiem katowskim... Jeszcze sekundy i będzie po wszystkim... Wszystko zdawało się być w porządku. Ale jednak coś tu nie grało...

Zmarszczył brwi, próbując odszukać nieprawidłowości. I niemalże od razu zaczął je zauważać. Kata wciąż nie było, a wyrok został ogłoszony... Tymczasem Sarien Hanar nadal pozostawał niespętany... Ba, stał obok ulundki i hobbita jak równy z równym! I uśmiechał się w jego kierunku.

Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Przeklął w myślach swoją ślepotę. Czy oni...?

- ...oby Pani miała litość nad waszymi duszami – zakończyła khorani, po czym skinęła głową sztywno. A zaraz potem Sarien Hanar machnął ręką w stronę zgromadzonej widowni.

To jest egzekucja... ale nie jego! – ta jedna myśl pojawiła się w umyśle Kyurema na ułamek sekundy przed tym, jak uniósł się w powietrze, uderzony potężną, kamienną łapą szarżującego Besar Takut. Błysk bólu, krzyk intuicji. A potem uderzenie o ścianę. Ciemność. Koniec. Kyurem Loroniss przestał już myśleć na zawsze.

- Nie!!! Chwila!!! – wrzasnął któryś ze stojących dalej członków rodu.

Na krótki moment dziedziniec wypełnił ogłuszający huk i łoskot kamieni uderzających w posadzki i kolumny. Rozległy się rozdzierające wrzaski ludzi miażdżonych kamiennymi łapami i

miotanych o ściany. Do tego wciąż trwał dziki, dudniący basowo ryk atakujących kamiennych ulundo. Rumor stał się ogłuszający, nie do zniesienia wręcz.

Tyle, że już po kilku sekundach z całej tej kakofonii wyłączono zostały ludzkie krzyki. Pozostał jedynie huk, przywodzący na myśl pędzącą lawinę. Kilka kolumn tworzących otaczające dziedziniec arkady zatrzeszczało groźnie.

- Nie!!! Stójcie!!! – dopiero teraz Sarien Hanar zeskoczył z podestu i pobiegł w stronę masakry – Stójcie!!!

Oba kamienne ulundo jak na komendę przerwały atak. Opuściły swe masywne, przypominające kamienne maczugi łapy, po czym wyprostowały się i spojrzały na podbiegającego do nich kapłana.

Ów zatrzymał się wpół kroku, jakby rażony widokiem.

Ulundo całe umorusane były we krwi. Umorusane. Nie poplamione paroma kroplami, nie obryzgane przez przypadek. Z granitu wciąż strumieniami skapywała posoka. A wszędzie wokół leżały ludzkie szczątki. Zmiażdżone korpusy, poszarpane drogie tuniki i pogruhotane kości, które jeszcze chwilę wcześniej tworzyły dumny i potężny ród Loronissów. A teraz leżały bezładnie, jak zabawki porozrzucane przez niegrzeczne dziecko po całym dziedzińcu. Krew zmieszana ze skalnym pyłem niespiesznie spływała na jego środek, gdzie pod drewnianym podestem kryła się mała studzienka. Szczeliny między płytami dziedzińca zaczęły tworzyć szkarłatną siatkę. I było cicho. Zupełnie cicho.

- Odejdź... – jęknął cicho Sarien, wciąż wpatrując się niczym zahipnotyzowany w ciała – To nie Messyna... Odejdź...

- Wszystko dobrze? – tuż za Sarieniem z szelestem liści pojawiła się khorani Akhala'beth. Spojrzała na niego z niepokojem.

Sarien potrząsał szybko głową, odganiając niebezpieczne myśli.

- Tak, tak... – odpowiedział szybko, odyskując rezon – Nikt nie przeżył? – rozejrzał się po całej scenierii, po czym zaklął – Wśród nich mógł być pewien prawy człowiek! Wśród nich mógł być pewien kapłan, wy idioci!

- Przeszukać ciała, sprawdzić czy go tu nie było – zaordynowała ulundka, po czym położyła dłoń na ramieniu Sariena. Zielone oczy błysnęły troską. – Wybacz, dostaliśmy informacje, że wszyscy tu współpracują z Imperium. Uwięzienie ich teraz, po zdradzie, byłoby zbyt niebezpieczne, musieliśmy ich usunąć natychmiast. Gdyby pozostali imperialiści dowiedzieli się, że zapadł na nich wyrok...

- Gdybyście wcześniej...!

- Mhhhhmhhh!!! – ciche jęczenie sprawiło, że zarówno Sarien jak i Akhala'beth odwrócili się.

Hobbit, o którego istnieniu niemal każdy już zapomniał, zaciskał usta, wyraźnie zły z faktu, iż nie może się odzywać. Patrzył znacząco na ulundkę.

- Nie, twoja pokuta nadal trwa, Kennecie Mason – oznajmiła oficjalnie khorani, wzdychając z irytacją. - Wystawienie na szwank świętości...

Hobbit pokręcił szybko głową dając do zrozumienia, że to nie o to mu chodziło. Wskazał dłonią w stronę bramy.

Wtedy zarówno człowiek jak i ulundka również usłyszeli, że ktoś nadchodzi. I nie był to równy, marszowy krok żołnierzy mających pozbierać ciała wybitych Loronissów. Nadchodzące postaci o czymś rozmawiały.

- ...że według tego raportu agentka Sweird nadal tam pozostaje, leczona...

Na dziedziniec wkroczyło dwóch wysokich i niewątpliwie bardzo zamożnych mężczyzn.

Ciągnący się do ziemi turkusowy płaszcz spięty misterną broszą w kształcie jaskółki nie pozostawiał wątpliwości co do tożsamości swego właściciela. Banko Vinerys – niegdyś obrzydliwie bogaty Ofirczyk, teraz nie mniej zamożny ambasador Imperium w Styrgradzie. Trzeba było mu przyznać, perfekcyjnie skupiał na sobie uwagę otoczenia.

Drugą osobę Sarien rozpoznał po chwili, kiedy już oderwał wzrok od bogacza i przyjrzał się dokładniej twarzy jego rozmówcy. Z trudem powstrzymał parsknięcie śmiechem.

Choć od jego stworzenia minął już ponad miesiąc, malunek na policzku Gerlorda nadal nie zmazał się do końca. Półoficjalny agent Imperium wciąż miał tam wyraźnie zarysowany kontur fikuśnej różyczki.

Obaj mężczyźni wkroczyli na dziedziniec pewnym, dostojnym krokiem, w pierwszej chwili zbyt zaabsorbowani dyskusją, by zauważyć choćby jedno z ciał.

- ...wysłałem tam więc Jamalę, by dopilnował jej bezpieczeńst... – Gerlord urwał, omal nie wpadłszy na idącego nieco przodem Banka. Ów bowiem stanął niespodziewanie, zauważywszy w końcu miejsce masakry.

Oficjalny przedstawiciel Imperium nie wypowiedział słowa. Powiódł tylko po dziedzińcu szeroko rozwartymi oczyma i w niemym zdziwieniu spojrzął na zgromadzone tam postaci. Dopiero po kilku sekundach za jego spojrzeniem powędrował wzrok towarzysza.

- Ojej – Gerlord uniósł brwi w zdumieniu – A co tu się stało?

Sarien uśmiechnął się cierpko.

- Wybacz, przyjacielu – mruknął w stronę imperialisty. Odwracając się na pięcie, zdążył jeszcze dać znak kamiennym ulundo.

- Jeszcze tylko sztabek żelaza na osobę fizyczną tu brakuje... – mruknął pod nosem Penatis. Zrobił to jednak na tyle cicho, by nikt ze zgromadzonych nie usłyszał owej uwagi. Za to przeciągłego ziewnięcia nieprzywykłego do rozmów dyplomatycznych Ohtata nie dało się już nie zauważyć.

Zerknął na słońce prześwitujące zza wysokich i wąskich okien komnaty. Ocenił pobieżnie jego przesunięcie na nieboskłonie.

Już dobrze ponad pół godziny... Już dobrze ponad pół godziny minęło, odkąd wkroczył do tej sali w pałacu Ilweran jako ochroniarz pary dyplomatów. Tylko on jeden stanowił ich eskortę. Bowiem tylko jego darzono wystarczającym zaufaniem... A przynajmniej tak mu powiedziano.

Zamrugął kilkukrotnie, by odegnać senność i odzyskać trzeźwość umysłu. Tulya nadal gadali. Niezmiennie łagodnymi, powolnymi głosami wyćwiczonych mówców. Penatis już dawno przestał zwracać uwagę na treść ich rozmowy. Wszystko w ich słowach było takie piękne, logiczne, czarujące wręcz... Niczym piękna kołysanka... Jak tu nie przystać na ich słowa? Na każde, nawet najbardziej idiotyczne...

Skarcił się w myślach. Musiał się ogarnąć! Był w końcu ochroniarzem, czy nie!?! Musiał się rozbudzić!

Zebrał się w sobie, by ponownie skupić uwagę na dialogu. Potrząsnął delikatnie głową i zamrugął jeszcze raz, tym razem powoli i mocno, by pobudzić krążenie przynajmniej na twarzy.

- ...podpisane bowiem przez ciebie dokumenty zmuszają nas do zdrady. Jednej lub drugiej strony, prędzej czy później – przemawiała piękna elfka o ciemnych włosach opadających na ramiona długimi lokami. – Obawiam się ponadto, że ów lud rzeczywiście wyolbrzymił przed tobą swój potencjał. Nie był w stanie obronić twojej córki przed atakiem zdrajcy. Nadal trwa jej leczenie. Z całym szacunkiem dla twojego osądu, szlachetny Astendecie, nie mogę zaryzykować sojuszu o tak wielkiej cenie i tak wielkim ryzyku, nie mając pewności, że ich potęga zapewni nam bezpieczeństwo.

To mówiła księżna Tulya'Helethai z rodu Aenien, władczyni elfów z byłego Aenthil. Penatis był nią od początku obrad absolutnie urzeczony. Nawet nie tyle jej urodą czy majestatem, ale tym, jak mówiła. Mógłby jej słuchać bez końca. I ze wszystkim, absolutnie wszystkim, co by powiedziała, zgodziłby się natychmiast.

- To prawda, pani – Tulya’Astendet z rodu Meliaor, jej rozmówca, nie dawał po sobie znać żadnych emocji, ani pozytywnych ani negatywnych. Ukłonił się księżnej z szacunkiem – Jednakże pozostaje jeszcze wspomniany już wcześniej Kaganat...

- Który jest daleko, Astendecie – Penatis mógłby przysiąc, że w uprzejmym uśmiechu księżnej pojawiła się nuta pobłażliwości – Stanięcie po owej stronie konfliktu, nawet zakładając zwycięstwo ludu Qa, oznaczałoby dla nas straszliwe straty. Wielu elfów skończyłoby jak twoja córka, jeśli nie gorzej. Czy jesteś w stanie zapewnić im bezpieczeństwo? Lub chociaż gwarancję, że ich poświęcenie nie pójdzie na marne?

Tulya’Astendet z rodu Meliaor skinął głową, zaciskając wargi. Spojrzał w stronę drugiego dyplomaty uczestniczącego w naradzie, jakby szukając u niego pomocy. Ów nie kazał długo na siebie czekać.

- Pani – rudowłosy Tulya wyprostował się i założył za plecy dłonie – Jest jeszcze jedna siła, która pomoże nam osiągnąć zwycięstwo. Jest jeszcze siła, która zdołała już raz odwrócić losy wojen między mocarstwami i z pewnością zrobi to również tym razem. Siła, która zdołała już raz sparaliżować Wergundię i zupełnie omamić jej wywiad. Siła która sprawiła, że Olaf Szalony zginął, a oddziały Terali dotarły pod sam Akwirgran.

- Mówisz o bezbożnikach – Helethai westchnęła ciężko i przeniosła wzrok na okno – Nie możemy się z nimi układać!

- Są w sojuszu z Qa, przyjęli ich bóstwa jako swoje – odpowiedział Astendet – My także musimy to zrobić, aby zawrzeć pakt... To nie są bezbożnicy. Odnaleźli nowych opiekunów. I my też powinniśmy.

- Pani, bogowie północy zawiedli i zawodzą nas już od niemal dwóch loa – dodał rudowłosy dyplomata – I nadal będą zawodzić. Nie pomogą nam odzyskać Aenthil. A sojusz z Imperium i Ludem Qa, owszem.

- Tawanien’yaro nigdy się nie zgodzą – Helethai zacisnęła wargi, wyraźnie zamyślona – Envyn’yaro również. Powiedz mi, Setillionie... – spojrzała ponuro na towarzysza Astendeta – Jak niby mam pociągnąć za sobą mój naród, jeśli wyrzeknę się Silvy? Jak mam pociągnąć za sobą mój naród, jeśli wyrzeknę się naszej własnej matki?

- Pójdą za dziedziczką Adarnila – uśmiechnął się rudowłosy dyplomata – Za tą, która dzierży Berło.

To mówiąc, Tulya’Setilion z rodu Irbet zamasztył ruchem wyciągnął spod swego granatowego płaszcza skrywany tam od początku audyencji przedmiot.

Szczere złoto zalśniło w blasku zachodzącego słońca. Wryte w podłużnym przedmiocie runy rzuciły na ściany leciutkie refleksy. Diamenciki w malutkiej klepsydrze stanowiącej zwieńczenie insygnium zaszemrały cichutko.

Zarówno Astendet jak i Helethai zamarli w niemym zdumieniu. Nawet Penatis, choć dobrze wiedział, co ukrywał pod płaszczem Setillion, z trudem zachował kamienną twarz.

Berło poległego przed ponad trzydziestu laty księcia Adarnila z rodu Aenien mieniło się majestatycznie w dłoni Setilliona. Ruchome, okrągłe zwieńczenie insygnium koronacyjnego Aenthil chygotało się leciutko wraz ze znajdującą się w jego środku misterną klepsydrą.

- Pani, czas upomnieć się o swoje dziedzictwo – rudowłosy Tulya mocniej ścisnął artefakt, głos potoczył się echem – Twój ojciec poświęcił życie za swój lud. Ile ty jesteś w stanie poświęcić dla swoich poddanych?

Księżna elfów z Aenthil cofnęła się o krok, jakby łapiąc równowagę. Jej szeroko rozwarte oczy wlepione były w Berło. Zdawała się nerwowo łapać powietrze. Kamienna twarz doświadczony dyplomaty znikła gdzieś, zastąpiona szokiem i niedowierzaniem.

- Nawet kasty kapłańskie zgodzą się na ten sojusz – skinął oszczędnie głową Astendet, znacznie szybciej od Helethai odzyskując rezon – A lepszego momentu, by odzyskać ojczyznę już nigdy nie będziemy mieli.

- Nawet wyrzekając się Silvy, naszej matki...? – Helethai wciąż wpatrywała się niczym zaczarowana w Berło Adarnila, a jej oddech ani myślał zwalniać. – Czy ojczyzna jest warta takiej zdrady...? – jej dłoń mimowolnie sięgnęła w stronę artefaktu.

- Dla ojczyzny jesteśmy w stanie wyrzec się wszystkiego – Setillion podał księżnej berło – Dla dziedzictwa Adarnila... Dla naszego dziedzictwa... Dla naszych dzieci...

- A inne kasty...? Kasty kapłańskie...? – palce księżnej delikatnie owinięły się wokół złotego trzonu. Setillion wypuścił go powoli, pozwalając księżnej przejąć artefakt. Ale nie odpowiedział na jej słowa. Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Inne kasty pójdą w ogień za tą, która dzierży Berło – Penatis sam nie uwierzył, że wypowiedział te słowa. Wyrwały się one z jego ust jakby bez jego woli, choć w zupełności się z nimi zgadzał. Stał wyprostowany, przyjmując żołnierską postawę – Bez względu na koszty. Poprowadź nas, pani, z powrotem do ojczyzny. Błagamy!

Setillion uśmiechnął się do Penatisa. Skinął ledwo zauważalnie głową w geście uznania. Tymczasem Helethai stała nieruchomo, zapatrzona niczym zaczarowana w trzymane w ręku insygnium księstwa Aenthil. Niemal widać było myśli pędzące przez jej głowę, tysiące zmartwień i trosk, którym musiała stawiać czoła przez te wszystkie lata. I niemal można było wyczytać z niemego ruchu jej warg to jedno słowo. Jedno, jedyne. Aenthil.

W całej tej scenie było coś magicznego. Penatis również temu ulegał. Zdążył zapomnieć już zupełnie, że wszystko to było tak naprawdę doskonale zaplanowanym teatrykiem. Że to wszystko zostało dokładnie wyliczone po to, by wyrzucić na Helethai określony wpływ. A przecież Penatis sam był świadkiem powstawania całego owego planu. Chyba od samego jego początku...

Zaczęło się kilka miesięcy wcześniej, jesienią, gdy Ohtat powracał z podpisywanego w Nelramarze traktatu o zawieszeniu broni i zmierzał z powrotem do Ilweran. Spotkał podczas jednego z nocnych postojów Setilliona. Ów szlachetny Tulya wyjaśnił wówczas wojownikowi swoje plany odnośnie Berła. Tego samego, świeżo odzyskanego, zaginionego przed laty Berła Adarnila, które tamtej nocy spoczywało w sakwie wojownika.

Minęło sporo czasu, zanim przekonał go co do czystości swoich intencji. Wtedy zaś Ohtat przekazał mu Berło, by w odpowiednim momencie polityk mógł wręczyć je Helethai i namówić ją do ataku na zjednoczone siły barbarzyńców znad Sankary oraz sługusów Przekłêtej. Co prawda później owa decyzja mocno skłóciła Penatisa z pewną Vayle, która pragnęła przekazać artefakt swojej kacie, ale była to cena, którą wojownik był gotów zapłacić. Dla dobra sprawy...

Odpowiedni moment nadszedł, gdy z Zapołudnia powrócił dobry przyjaciel Setilliona, Astendet. Para odwiecznych kompanów zaczęła wtedy przygotowania do wspólnej audyencji u Helethai, na którą zaprosili również i Penatisa. W formie ochroniarza, dla formalności.

Penatis ponownie zamrugał, zorientowawszy się, że znów stracił koncentrację, oddając się wspomnieniom. Rozejrzał się po pomieszczeniu, by ku swojemu zaskoczeniu odkryć, że zarówno Astendet i Setillion kłaniają się głęboko przed wciąż ściskającą kurczowo Berło Helethai. To był gest pożegnania. Audyencja dobiegała końca.

Sam również pospieszenie pochylił się w sztywnym, żołnierskim ukłonie. Jak mógł znów się tak rozproszyć!? Zdecydowanie, nie nadawał się do długich obrad.

Odczekał aż para Tulya wyminie go, by mógł ruszyć za nimi. Tak wypadało ochroniarzom.

Gdy cała trójka opuszczała salę audiencyjną, mógłby przysiąc, że Setillion i Astendet ledwo zauważalnie stuknęli się pięściami w młodzieńczym geście zupełnie nie pasującym do wiekowych i szanowanych powszechnie Tulya. Choć może było to jedynie przywidzenie...

Z mniejszej sali audiencyjnej wyszli na arkadowy dziedziniec. Penatis czujnie powiódł wzrokiem po otaczającej placyk kolumnadzie, wypatrując zagrożeń.

Była tam. Stała pod jedną z kolumn. W cieniu, w niewielkim kapturze narzuconym na złote włosy. Przyglądała się pochodowi.

Vayle'Finiel z rodu Meredith. Właśnie ta Vayle, która nie chciała, by Berło dostało się w ręce Setilliona, lecz by zgniło gdzieś w skarbcach jej kasty. Opierała dłoń na ramieniu jakiejś niższej postaci. Rudowłosej dziewczyny w szatach uczennicy. Ta nie nosiła kaptura. I na dodatek wydawała się dziwnie znajoma Penatisowi. Gdzieś już wcześniej widział owe ostre, jakby ludzkie rysy twarzy. I zaskakująco mało szpiczaste uszy.

Półelfka?! W pałacu Ilweran? Przecież to się nie godzi!

Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Finiel, gdy przechodził wraz z parą dyplomatów przez środek dziedzińca. Zaatakujecie? Mogłaby. Któż wiedział, co planowała...

Złotowłosa Vayle w granatowej szacie nie była jednak wściekła. Patrzyła raczej z bólem. Z dojmującym żalem i rezygnacją. A i to ledwie przez chwilę. Potem odwróciła się. Objęła wyraźnym protekcyjnym gestem dziewczynę i odeszła gdzieś w bok.

Po plecach Penatisa przebiegły ciarki. Od owego spojrzenia Vayle naszło go dziwne poczucie winy. Szybko jednak zostało wyparte przez dumę.

Kroczył wszak tuż za Astendetem i Setillionem. Parą bohaterów, którzy właśnie namówili księżną Helethai do podjęcia walki o Aenthil. A przecież za odzyskanie stolicy Penatis, jak i rzesza innych elfów, gotów był oddać wszystko.

- Koniec energii!!!

Krzyk kolejnego maga wywołał u dekurion Eryki dar Bregen wiązanek krótkich, typowo żołnierskich przekleństw. Magini powietrza rozejrzała się pobieżnie, szukając kogokolwiek do zastąpienia czarodzieja, który właśnie zgłosił potrzebę odprawienia rytuału. Niestety, jej obawy były słuszne. Nie było absolutnie nikogo, kto mógłby w tej chwili wejść w miejsce maga.

- Ja wchodzę – podjęła błyskawiczną decyzję – Tylko zaraz mi tu wracaj!

Kilkoma szybkimi skokami wdrapała się na szczyt wału, zza którego szyk magów osłaniał swymi czarami działania oddziałów czerwonego tymenu. Czarodzieje, w większości świeżo upieczeni absolwenci po uniwersytetach w Akwirgranie bądź Bibactborgu, dwoili się i troili, byle tylko wesprzeć walczących żołnierzy Wergundii.

Przeszło dekada służby wojskowej wyrobiła już w Eryce odruchy typowe dla dowódców. Potrzebowała ledwie chwili, by ocenić sytuację widoczną za wałem. Wcale nie poprawiło jej to humoru.

- Otaczają nas – jęknęła ze złością. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że tak bezpośrednia ocena może źle wpłynąć na morale stojących obok magów.

Jednakże ten stojący najbliżej zdawał się być równie doświadczonym weteranem co ona. Zaśmiał się cierpko, słysząc jej komentarz.

- A to my mieliśmy wziąć ich w dwa ognie i uratować stolicę, nie? – zapytał z przekąsem, wykrzyczawszy formułkę, po której w szeregi wroga popędził huczący niemiłosiernie piorun – Do Akwirgranu raptem pół godziny marszu... Tak blisko, a tak daleko!

Eryka zmrużyła oczy, równocześnie formułując proste zaklęcie niewielkiego tornada. Pamiętała skądś ów głos, ów niemal szydery ton. Ów błysk w oczach, gdy mag słał za wał kolejne błyskawice.

- Taril!? – wykrzyknęła, gdy tylko przypomniała sobie imię dawnego dowódcy – Przecież ty jesteś dezserterem!

- Och, wybacz, zapomniałem! – prychnął z ironią jasnowłosy mag – Już się stąd zmywam!

Eryka nie miała czasu, by odpowiedzieć. Dała pozostałym magom umówiony znak, wypuszczając w powietrze zielony snop iskier. Wypowiadane zgodnym chórem zaklęcie zagłuszyło zgiełk bitwy. A chwilę po jego wybrzmieniu w powietrzu rozległ się potężny huk. Stojący kilkadziesiąt metrów dalej oddział wroga wzbił się w powietrze i niesiony potężnym podmuchem

wleciał prosto w inną formację, na którą właśnie szła szarża grupki pawężników czerwonego tymenu. Ciężka, wergundzka piechota wbiła się klinem w przewracanych i ogarniętych chaosem wrogich wojowników.

- Brak mocy! – wrzasnął Taril, a wraz z nim kilku innych magów.

- Ładować, szybko! – Eryka zsunęła się z wału z powrotem na ukrywającą się za nią polanę, gdzie już stały przygotowane do pobierania many kręgi. Pospieszenie policzyła, że poza nią i Tarilem na dół zbiegł niemal co trzeci mag. Ci którzy pozostali, w większości ledwo trzymali się na nogach.

- Dobra, opowiesz mi kiedy indziej, jakim cudem wróciłeś pod skrzydła Strandbranda – westchnęła – Ładuj się... A ty, dar Khaven – zwróciła się do jednego z setników – przejmujesz na chwilę dowodzenie! Zaraz wracam!

Klepnęła starego znajomego w ramię, po czym pobiegła w stronę centrum obozowiska. Musiała powiadomić dowództwo, że magowie na wałach długo już nie wytrzymają. Sama po kilku dniach nieprzerwanej walki czuła się jak pijana.

Szeroki pas krzaków i zarośli między okopami a obozowiskiem przesadziła w zawrotnym, jak na jej stan, tempie. Doskonale знаła trasę wiodącą pomiędzy poukrywanymi w roślinności minami. Rozstawiono je na wypadek, gdyby jednak atak czerwonego tymenu na wojska oblegające Akwirgran miał się nie powieść. I niestety, wiele wskazywało na to, że za jakiś czas będą one przydatne.

Cóż, przynajmniej Haaldor się ucieszy. Eryka dobrze pamiętała sadystyczny uśmiezek znajomego inżyniera-amatora, gdy tłumaczył jej mechanizmy działania montowanych przez siebie wnyków. Zapewne wiele takich czekało już w krzakach oddzielających wały magów od obozowiska.

Ze wspomnień wyrwała ją zadyszka. Za pasem pola minowego teren stromo wznosił się pod górę. Eryka może i nie miała wyjątkowo silnej kondycji, jednakże tak szybkie tracenie oddechu zaskoczyło ją i zaniepokoiło. Dowodzenie magami na wałach musiało rzeczywiście zmęczyć ją bardziej niż myślała.

Ignorując błagające o odpoczynek płuca przeskoczyła nad odcciągami namiotów i skierowała się w stronę centrum obozu. Jeszcze niedaleko! A Kaldel musi wiedzieć, że magowie potrzebują odciążenia...

Wybiegając zza zakrętu, omal nie wpadła na stalowy napierśnik żołnierza idącego na czele oddziału.

- Z drogi!!! – zdążyła zakrzyknąć, próbując jakoś skrócić i cudem wyminąć zbrojnego. Cud się nie zdarzył. Ziemia uciekła jej spod stóp. Ręce w ostatniej chwili przejęły impet spadającego ciała.

- Eryka! Wszystko w porządku!? – żołnierz zatrzymał grupę, po czym pochylił się i pomógł magini wstać.

Tak, tak, w porządku – chciała odpowiedzieć. Chciała, bo odpowiedzią Eryki okazał się jedynie jęk bólu. Biodro bolało wyjątkowo mocno. Dopiero po chwili magini zebrała się w sobie, by pokiwać szybko głową.

- Tak, tak... żyję – mruknęła, wstając na równe nogi – Chwila... gdzie wy się wybieracie!?

Wyprostowała się i spojrzała na żołnierzy stojących za dowódcą. Ciężka kawaleria i lekka piechota. Naprawdę dużo ciężkiej kawalerii i lekkiej piechoty.

- W stronę brodów na Sankarze – dowódca pochodu zdjął hełm z szerokim nosem, odsłaniając poznaną całkiem młodymi bliznami twarz – Ja i Berdiam – skinął głową na idącego tuż obok adiutanta.

Dopiero teraz Eryka rozpoznała dwóch znajomych z dowództwa. Ralfa dar Kentendorfa, tak zmienionego od ich ostatniego spotkania, dziś, jak nigdy, w kawaleryjskiej zbroi i hełmie. Berdiam natomiast widywała od jakiegoś czasu coraz rzadziej, częściej czytając raporty z jego zwiadów. Teraz, wciąż nie mogąc się otrząsnąć, patrzyła jak z hełmem pod pachą wpatruje się on w południowy horyzont. Nie pasował mu ten rynsztunek...

- Brody... na południu!? – zaskoczona spojrzała na Ralfa, próbując połączyć wątki – Ale tam przecież...

- Tak, tam idzie druga armia dzikusów – Ralf jakby nigdy nic skinął głową, po czym dał znak swoim żołnierzom, by ruszyć dalej. Dalej...

Szli w stronę stajni połowych. To po drodze, pójdę z nimi – myślała Eryka. – Brody na południu... Co oni najlepszego...?

- Ale przecież jest was za mało! Utoniecie w tym morzu! – spojrzała ze zgrozą na towarzysza – Jesteście potrzebni tutaj!

- Jesteśmy potrzebni tam. Oddziały, które są tutaj, muszą przetrwać – westchnął Ralf, przyspieszając wyraźnie. – Rozkaz magnifera... Mamy spowolnić tamtych. Atak od zachodu wciąż nie nadchodzi, a jeśli obie armie dzikusów zdążą się połączyć, nawet twój ukochany spóźnialski braciszek nam nie pomoże.

- Chwila... Braciszek... Archibald!? – niemal wykrzyknęła Eryka.

- Podobno dar Randorf poległ, więc on przejął dowództwo, nie słyszałaś o tym? – stary wojownik uśmiechnął się cierpko, nie przerywając szybkiego marszu. – I teraz to on dowodzi oddziałami, które mają przyjść z atakiem od zachodu. Ale najwyraźniej coś go tam zatrzymuje. Dlatego dostałem rozkaz wziąć ze sobą dwa tysiące i iść na południe. Armie dzikusów nie mogą się połączyć, zanim on nie przyjdzie.

- Dwa tysiące... Ale przecież... W takim razie wy... Wy idziecie na pewną śmierć!

Ralf zatrzymał się i wlepił wzrok w ziemię. Zamiast niego odpowiedział Berdiam.

- Wiemy – spojrzał ponuro na Erykę – Wszyscy wiemy.

Magini powietrza nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Jej brat Archibald dowódcą... Ale z drugiej strony spóźnia się z odsieczą... I to dlatego Ralf i Berdiam, jej towarzysze broni, idą się poświęcić! Ale... przecież to wszystko nie tak miało wyglądać!

Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Co powiedzieć? Jakimi słowami dodać im otuchy? Czy w ogóle potrafiła? W takiej sytuacji... a jeśli już nigdy ich nie zobaczy? W sumie to prawie pewne... Nie wiedziała jak odpowiedzieć obu starym znajomym, idącym na pewną śmierć. Czują wewnątrz mętlik. Zupełny chaos. Już nie tylko język przestał jej słuchać, nogi zaczęły uginać się pod nią. I nie miało to nic wspólnego z magicznym wycieńczeniem.

- Nie miałaś iść do dowódcy? – spytał Ralf, nie odrywając wzroku od ziemi, ruszając jednak z miejsca. Berdiam uśmiechnął się sztywno.

- Co...? Ach, tak... – Eryka zdała sobie sprawę, że namiot magnifera jest właśnie mijany.

Jęknęła cicho. Chciała się jakoś pożegnać z Ralfem i Berdiamem. Chciała powiedzieć im, że to, co robią, nie jest na darmo... Właściwie chciała powiedzieć im cokolwiek, nim pojedą... Ale głos wciąż jej nie słuchał. Bitwa trwała. A ona i tak za bardzo już zwlekała.

Odbiła na bok, by wejść do namiotu dowódcy, walcząc ze sobą. Co mogła im powiedzieć!?

- Eryko...

- Hm? – odwróciła się w stronę odchodzących żołnierzy.

- Nie zmarnujcie naszego poświęcenia – ledwo co usłyszała Ralfa, który zdążył już pójść spory kawałek dalej.

Stała tak przez chwilę, tuż przed wejściem do namiotu magnifera, żegnając wzrokiem odchodzących kawalerzystów. Nie była zdolna się poruszyć. A może była, tylko nie chciała? Wiedziała, że już nigdy więcej nie ujrzy żadnego z tych żołnierzy... Nie usłyszy rozkazów Ralfa, nie dowie się od Berdiama, co czai się w lesie... Dopiero po chwili otrząsnęła się z odrętwienia.

Nie, ich poświęcenie nie może pójść na marne! Czerwony tyment musi przerwać to oblężenie! Musi uratować Akwirgran i zamkniętego w środku księcia Arnulfa! Archibald musi zdążyć! Na Modwita, musi zdążyć! Musi!!!

A do tego czasu ja muszę sprawić się jak najlepiej – dodała w myśli – Dla nich... Dla nich wszystkich.

Westchnęła ciężko, po czym wkroczyła z meldunkiem do namiotu magnifera Kaldela Strandbranda.

Misternie rzeźbione, kościane pionki przypominały nachalnie o domu. Archibald dobrze pamiętał bardzo podobny komplet, schowany w szafce pod oknem, wyjmowany najczęściej na długie, zimowe wieczory. Pamiętał rodzeństwo, ich okrzyki, gdy angażowali się w kolejne fikcyjne kampanie, gdy ich tymenty zdobywały kolejne państwa... Ich radość, gdy dowodzący armią białych książe przyjmował hołd kniazia pokonanej armii. Pamiętał... Ale tym razem pionków wcale nie rozstawiono do gry.

Archibald dar Bregen dawno nie patrzył już na niewinną zabawę. Tym razem każda z figur reprezentowała realne oddziały. Realne życia realnych żołnierzy walczących o jak najbardziej realną Wergundię. Jego ojczyznę.

Poprawił białego księcia tak, by stał dokładnie na oznaczonej wsi.

- A co z ich odwodami? – dłoń adiutanta wskazała kilka czarnych pionków ustawionych nieco dalej na południe.

- Spokojna głowa – mruknął dowódca, popierając słowa gestem. – Będą zajęte, dopóki nie skończymy. Dostałem rano raport, ci wariaci z trzynastki przebili się i są już za Solhoffem – tu powiódł wzrokiem po zgromadzonych, nie ukrywając uśmiechu mściwej satysfakcji – Godryk Dar Augam właśnie wjechał im w tyły.

Kilka osób pokiwało głowami z uśmiechem. Jednakże niemal wszystkie oczy wciąż pozostawały pełne nerwowego napięcia. I wszystkie wlepione były w Archibalda. Po tym jak dekurion dar Randorf poległ kilka dni temu, to właśnie on, niedawno mianowany w jego miejsce, przejął awaryjnie jego oddziały. W tej chwili pod jego dowództwem znajdowało się niemal dwa i pół tysiąca żołnierzy, w większości z czerwonego i burego tymentu. I to on musiał poprowadzić ich do boju.

- Zatem droga do Akwirgranu stoi otworem? – jeden z setników uniósł brwi, także pochylając się nad mapą.

- Niezupełnie. I tak czeka nas przebijanie się przez niemałe hordy. Dostałem raport o jakimś tysiącu dzikusów między Graką a Gwinduiną – dłoń dar Bregena powiodła wzdłuż dwóch rzeczek wpadających do Sankary.

- To ilu z nich oblega w tej chwili stolicę?

- Nie wiadomo dokładnie – odpowiedź ubiegł centurion dar Bruner dowodzący konnymi zwiadowcami. Jego długaśna, iście krasnoludzka broda zafalowała nad mapą. – Co najmniej czterdzieści tysięcy, jeśli nie więcej.

W namiocie zapadła cisza. Wszyscy doskonale zdali sobie sprawę, że w nadciągającej bitwie proporcje wyniosą niemal szesnaście do jednego.

- Czy oni na tym Zapółdniu robili cokolwiek poza mnożeniem się? – jak zwykle niezręczną ciszę przerwał komentarz centuriona dar Nithela.

- Będziemy mieli po swojej stronie teren i przy odrobinie szczęścia zaskoczenie – Archibald przesunął dłonią nad trasą, jaka dzieliła jego oddziały od zamkniętego w oblężeniu Akwirgranu – A na jakiś dzień przed nami od drugiej strony uderzy jeszcze magnifer Strandbrand z siłą około siedmiu tysięcy. O ile dzikusy nie użyją tych swoich zaszarych magów, są szanse, że uda nam się ich wyróżnić...

...i tytuł magnifera oraz „zbawcy stolicy” mam w kieszeni – dodał w myślach, uśmiechając się pod nosem.

- Nawet jeśli wszystko się uda, poniesiemy olbrzymie straty – skomentował któryś z centurionów – Będziemy musieli zaatakować bez przygotowania.

- Nie lepiej będzie poczekać nad Gwinduiną? – inny setnik wyciągnął rękę w stronę jednego z pionków – Skoro trzecia i piętnasta są na północy, i to praktycznie bez strat, zdążyłyby się z nami

połączyć. A przy okazji wojska Strandbranda pokażą nam do tego czasu, czym dysponują te gnojki. Zdamy się lepiej przygotować do uderzenia.

- Nic z tego – Archibald pokręcił głową, czując w dłoni chłód kościanego skoczka. – Nie zdążą. Od południa idzie kolejna armia dzikusów, przeprawiają się właśnie przez Sankarę na wysokości Danghoffu.

- ...jakieś kolejne trzydzieści tysięcy – mruknął dar Bruner, ponownie wywołując trwającą dłuższą chwilę ponurą konsternację – Jeśli nie ruszymy od razu, Akwirgran nie będzie miał już szans.

- Więc tylko od nas zależy los stolicy? – padło gdzieś z tyłu gromadki.

- Tak, tylko od nas – odpowiedział jeden ze starszych centurionów, wlepiając wzrok w pionki – I większość z nas tego nie przeżyje.

Archibald nie odpowiedział. Stał i wpatrywał się w mapę, przygryzając w zamyśleniu wargi. Wiedział, że nadciągająca bitwa jest wielką niewiadomą. Nie był pewien, czy podoła wyzwaniu. Nie był pewien, ilu jeszcze z tych stojących nad mapą będzie mu dane ujrzeć. Zaciśnięta na skoczku dłoń zaczynała się pocić.

Centurioni mieli rację. Nie mógł być pewien powrotu. Ani ich, ani swojego. Do Kruczej Skały, do pokoju z rzeźbionym kompletem pionków. Wrócić jako magnifer... Ręka zadrżała, miał tylko nadzieję, że niezauważalnie. Ryzyko... Czy Elmeryka nazwano by Wielkim, gdyby go nie podejmował? Teraz nic nie było już pewne, nic łatwe. Poświęcić ich, siebie? A może dać im przeżyć? Odrzucił tę myśl. Akwirgran wciąż był stolicą, najważniejszym miejscem każdego Wergunda. Zaciśnął pięść, zmuszając umysł do planowania. Musiał uderzyć.

- Podążał za nami jeszcze jeden wrogi oddział, z zachodu, prawda? – spytał po chwili, wpatrując się w mapę. Dolina, przeprawa przez rzekę, wsparcie Strandbranda... Wszystko układało się w ładne, logiczne uderzenie. Brzmiało tak łatwo.

- Jakieś trzy tysiące, chyba nawet niecałe – któryś z centurionów wzruszył ramionami. – Ale zwiadowcy donoszą, że odbili na północ, w kierunku Maegros. Nie są zagrożeniem... choć tamtejsze zamki są stracone, skoro ruszamy na Akwirgran. Ale to chyba konieczne straty... I dopuszczalne.

Dopuszczalne straty... Archibald zamarł niemal w pół myśli. Świadomość krzyknęła, dłoń wpiła się w kościanego skoczka. Dar Bregen wypuścił powoli powietrze. Poczul, że zaczyna robić mu się zimno, że po karku spływa lodowata strużka. Tamtejsze zamki mają być stracone...?! Oj, młody dekurion dobrze znał tamtejsze zamki... Aż za dobrze...

Tam była Krucza Skała.

Z trudem powstrzymał się od jęku. Przybycie z odsieczą dla Akwirgranu i wojsk Strandbranda było kluczowym momentem kampanii. Od tego manewru zależały losy stolicy... losy Wergundii... jego kariera... Ale ruszenie w tamtą stronę oznaczało poświęcenie Kruczej Skały, miejsca gdzie się urodził, skąd pochodził...!

Rzeźbione w kości pionki były niemal identyczne jak te z jego pokoju.

Wyprostował się gwałtownie, jakimś cudem przyjmując pozę dowódcy. Wziął głęboki wdech, wodząc wzrokiem po zgromadzonych. Nie dać po sobie poznać... Czy w ogóle się dało? Centurioni patrzyli wyczekująco. Wiedział, na co czekali. I jednocześnie wiedział, że będzie musiał ich zaskoczyć.

- Panowie, nie damy rady ocalić Akwirgranu – oznajmił głośno, wywołując przewidziane zdumienie – To będzie tylko niepotrzebne samobójstwo. Nie przeżyjemy tego, a nic to nie zmienia. Stolica... stolica jest niestety stracona. Musimy ją poświęcić dla dobra kampanii.

- Przecież przed chwilą planowaliśmy że...

- Tak. Ale skoro oddziały dzikusów za naszymi plecami odbijają na północ to znaczy, że nie muszą obawiać się odsłoniętej flanki na wybrzeżach Sankary – szybko wymyślił kłamstwo usprawiedliwiające jego decyzję – A to znaczy, że w górę rzeki płyną langskipy z kolejnymi oddziałami. Przykro mi, ale próbując ocalić Akwirgran, nic nie osiągniemy. Nie chcę was tracić, będziecie jeszcze potrzebni Wergundii. Musimy się wycofać na północ i tam zreorganizować.

- Ale panie dekurionie, przecież...

- To rozkaz! Za godzinę ruszamy na północny-zachód! Do roboty!

Cały sztab zasalutował odruchowo. Oczom Archibalda nie umknęło, że wielu centurionów odetchnęło cichutko z ulgą. Choć każdy starał się, by pozostali tego nie zauważyli.

- Odwrot!!! Odwrot!!! – okrzyki kolejnych centurionów i dziesiętników wypełniły okopy, wtórując komendzie pani dekurion. Eryka spodziewała się konieczności wydania tego rozkazu już od dłuższego czasu, jego nieuchronność z godziny na godzinę stawała się czymś coraz bardziej oczywistym. Jednakże mimo to i tak, słysząc własne słowa, poczuła coś na kształt zaskoczenia. I upokorzenia.

Przegrywali. Przegrywali już od dobrych kilku dni. Oni, samotna wysepka w morzu wrogów, która jeszcze niedawno była armią, która miała uratować Akwirgran, armią która miała wyzwolić stolicę i uratować księcia Arnulfa!

Zmeęła w ustach przekleństwo, po czym klepnęła w ramię Tarila, by ruszył za nią. Nie miała pewności, czy jej towarzysz dostatecznie dobrze zna ścieżki przeznaczone do ewakuacji.

Zwinnym susem zeskoczyła z wału ziemnego, by rzucić się biegiem w stronę obozowiska. Wiedziała dobrze, że za ułamek sekundy na szczycie umocnień pojawią się Zapółudniowcy. Tyle dobrego, że prawie na pewno nie mieli w tej okolicy żadnych łuczników, zwłaszcza elfich... Grupka Lutha'yaro mogłaby w tej chwili spokojnie wystrzelać wszystkich magów uciekających z okopów w stronę obozu.

Zatrzymała się tuż przed polem minowym. Musiała się upewnić, że wszyscy magowie wybrali odpowiednio przygotowane ścieżki. Oby żaden z nich wiedziony paniką nie zdecydował się pobic prosto, na przełaj...

Huk. A potem wrzask. Któryś z magów najwyraźniej pomylił trasę.

Eryka zdusiła chęć odszukania nieszczęśnika i wezwania medyka. Nie było czasu! Obejrzała się na okopy. Na szczycie najwyższego wału pojawiły się już sylwetki dzikusów. Kilka strzał i włóczni poleciało w kierunku co wolniejszych magów. Kilku padło z rozdzierającym krzykiem.

- Ruszaj! Jazda! – Taril pchnął Erykę tak, że ta omal znów nie straciła równowagi – Nie ma czasu!

Stary znajomy nie musiał drugi raz powtarzać, dekurion dobrze znała rozkazy na wypadek konieczności odwrotu. Ruszyła biegiem przez ścieżkę wytyczoną wśród min. Reszta magów musiała jakoś sobie poradzić...

Nie dobiegła nawet do połowy, gdy zaczęła słyszeć za plecami huk wybuchów i trzaski wnyków. To pościg musiał ruszyć za nimi, a Qa zaczęli wpadać w miny. Ukryte w wysokiej trawie pułapki musiały ich zatrzymać...

Nie zatrzymały. Ku zaskoczeniu Eryki, po kilku pierwszych odgłosach eksplozji, pojawiły się kolejne. Ba, ich częstotliwość wręcz rosła! Napastnicy nawet nie zwolnili. Czy to wiedzeni własnym szaleństwem, czy też batami dowódców, ruszyli za magami przez pole minowe, nie bacząc na własne życie. Ginęli dziesiątkami. Ale nawet nie spowolnili swego biegu. Cholera!

Są szybsi! Dogonią nas! Jak nic dogonią! – przemknęło jej przez myśl, gdy jeszcze raz obejrzała się za siebie i potwierdziła swoje obawy.

Zmusiła się do najszybszego biegu, na jaki było ją stać. Przed nią znów była skarpa. Wspinając się po niej, nie mogła zwolnić, nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek. Póki znajdowała się na zboczu, była doskonałym celem dla każdego miotacza. Musiała jak najszybciej stanąć na szczycie!

Nawet nie spostrzegła, kiedy znalazła się na skraju obozowiska. Zauważyła mroczki przed oczyma i słodkawy posmak w gardle. Oparła się o jakiegoś maga, który również chwiał się na szczycie wzniesienia, próbując złapać równowagę. Było źle, pomyślała, klnąc własną kondycję.

Pochyliła głowę, wykonując kilka głębokich wdechów. Serce waliło jej jak oszalałe, płuca paliły żywym ogniem. Wolała nawet nie zgadywać, jakim cudem po tak szybkim biegu wciąż jeszcze trzymała się na nogach. Ani tym bardziej, jak później jej organizm będzie jej kazał zapłacić za ów wysiłek.

Ale nie można było się użalać nad sobą. A na pewno nie teraz! Nie, kiedy przez pole minowe szarżowały tłumy Zapółudniowców!

- Taril, przygotuj osłonę! – wysapała, z trudem łapiąc powietrze – Masz chyba jeszcze dużo energii... Postaw osłonę, a potem zbierz jeszcze kilku i... Taril...? Taril!?

Wyprostowała się gwałtownie, widząc, że jej towarzysza nie ma wśród wbiegających na szczyt magów. Przecież biegł tuż za nią... Rozejrzała się przerażona po narastającym tłumie, szukając znajomej twarzy.

- Taril!? – podbiegła na skraj zbocza, obawiając się najgorszego. – TARIL!

Ale nie, wśród leżących w trawie nie było starego znajomego... Nie było go wśród poległych na zboczu. Był gdzie indziej. I bynajmniej nie leżał.

Stał dumny i wyprostowany na środku ścieżki, cały oświetlony błękitnymi rozbłyskami. Lśniące mocą ręce uniósł przed siebie, wyrzaskując zaklęcia. A z obu jego dłoni z nieprzerwanym, ogłuszającym hukiem wystrzeliwały zabójcze błyskawice. Kolejne błękitne wyładowania zalewały całą przestrzeń między nim a okopami jasnym światłem, niosąc ze sobą rozdzierający huk i swąd spalonego mięsa. Kolejni Qa padali niczym muchy, gdy błękitne pioruny z upiornym trzaskiem przeskakiwały z jednego na drugiego. Ich najdalej wysunięte szeregi zaczynały topnieć. I choć zza wału nadbiegały kolejne hordy, tłum dzikusów coraz szybciej cofał się w tamtą stronę. Raz po raz wciąż jeszcze wybuchały miny. Ale to nie one, a pandemonium wywołane przez Tarila spychało atakujących coraz dalej i dalej...

Eryka nie uśmiechała się jednak. Nie potrafiła. Poczuela, jak upada, gdy nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ale wciąż patrzyła, nie potrafiłaby nie patrzeć. Dłonie zacisnęły się na tym, co było pod ręką, na źdźbłach trawy. Nie... poczuela coś mokrego na swoim policzku. Łza. Taril, nie...

Wokół rozległy się wiwaty. Już go widzieli, wszyscy widzieli, co robił. Czerwony tyment krzyczał na cześć dezterera, co za ironia! Ale i teraz Eryka dar Bregen nie uśmiechnęła się. Ba, nie przyłączyła się nawet do wiwatów! Nie rozumiała, naprawdę nie rozumiała, czemu krzyczą. Czyżby nie wiedzieli? Tak, musieli nie wiedzieć. Magowie od siedmiu boleści, nie umiejący kalkulować many!

Kolejne błyskawice. Qa wciąż się cofali, już prawie nie było ich na wale. Taril, przestań! Nie musisz tego robić! Kolejny oddział dzikusów upadł, drżąc od energii. A Taril się zachwiał. Zachwiał się, widziała to dobrze. A więc brakowało mu mocy, miała rację... Jak bardzo wolałaby jej nie mieć! Zamknęła oczy... Ale natychmiast pod powiekami stanęli inni, ci którzy odeszli na zawsze. Z własnego wyboru. Taril... Stał tam nadal, nawet nie pomyślał o odwrocie. Wybrał. Jak Ralf, jak Berdiam... Czy ja umiałabym wybrać?

Dzikusy zaatakowały raz jeszcze. Znów zabrzmiały wiwaty, znów poniósł się krzyk. Znów niszczycielska siła zaklęcia przetrzebiła szeregi wroga. Nie przedrą się, nie mają szans! Zaczęła kiełkować nadzieja. Tylko po to, by zgasnąć równie nagle.

Dzikusy rozstąpiły się, skłoniły się jakby. A czarny kształt niczym strzęp mgły powoli wypełził na wał i leniwie przepłynął nad ciałami towarzyszy. Pioruny miotane przez Tarila nie czyniły mu krzywdy, jakby faktycznie omijały tę sylwetkę, ten nieznany cień. Zakapturzona istota zdawała się szydzić z maga, powoli stąpając w jego kierunku, niosąc ciemność i strach. Białe tuniki u jej stóp przypominały dywan, po którym kapłan w świąteczny dzień zdązał do ołtarza. Ale ona nie była kapłanem. Była mrokiem. I wciąż szła w stronę Tarila, unosząc zakrwawioną dłoń.

Błękitny blask znikł niczym zasłonięty, pokrywając cały pas pola minowego mrokiem. Huk piorunów urwał się raptownie. Zapadła cisza. Nawet wiatr ucichł, gdy drobna, odziana w szkarłatny płaszcz postać Tarila zachwiała się po raz kolejny. A potem jeszcze raz. Cień postąpił kolejny krok. A

mag bez słowa, bez jednego krzyku osunął się na kolana, jakby oddając hołd górującej nad nim czarnej postaci. I wreszcie upadł. Bezwładnie. Na twarz.

- NIEEEEE!!! – wrzask zrozpaczonej Eryki zagłuszony został tryumfalnym okrzykiem Zapółudniowców. Cofające się dotychczas hordy wrogów ruszyły znowu, z potępieńczym wyciem pędząc w stronę obozowiska.

Eryka nawet nie zdała sobie sprawy, kiedy wstała na nogi. Chciała rzucić się biegiem w stronę czarnej postaci, pomścić przyjaciela... Nie zdążyła. Ktoś przytrzymał ją za ramię. Chyba nawet ten sam mag, o którego wcześniej się oparła.

- Pani dekurion! – krzyknął ktoś zza jej pleców.

W pierwszym odruchu chciała zignorować wołanie i wyrwać się trzymającej ją osobie. Ale w tym momencie zdała sobie sprawę, że czarna postać spogląda w jej kierunku.

Stała, niczym sparaliżowana. Poczwała, jak wnętrzności kurczą się w niej ze strachu, jak wszystkie sensowne zamiary odpływają gdzieś w niebyt. W jednej chwili zapomniała o pomysłach rzucenia się w dół zbocza. Już nie myślała. Otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w cień. W głowie usłyszała szum. Narastający szum, tłumiący wszelkie inne dźwięki, wszelkie pomysły, wszelkie plany...

Czarna, zakapturzona postać, nie odrywając wzroku od Eryki, ruszyła w jej kierunku tym samym powolnym, niespiesznym krokiem. Przeszła po szkarłatnej tunice Tarila, jakby ta okrywała kamień czy kupkę ziemi, nie ciało. Inni wojownicy Zapółudnia ruszyli raptownie, zaczęli mijać ją w biegu, jednak ona sama wciąż szła powoli i spokojnie. Niczym majestatyczne, mroczne, nieuchronne widmo śmierci. Choć spod kaptura nie widać było jej oczu, Eryka doskonale wiedziała, że postać wpatruje się właśnie w nią. Wiedziała? Czy mogła powiedzieć, że wie cokolwiek? Taril, Berdiam, Ralf... Ojciec... Archibald też? Ich twarze, ich zakrwawione twarze... Pokryta tatuażami dłoń zaczęła powoli unosić się w górę.

Nawet gdyby chciała, nie była w stanie się poruszyć. Serce waliło jej jak oszalone, grożąc wyskoczeniem z piersi. Mogła niemalże usłyszeć narastający rumor, przeradzający się stopniowo w ogłuszający huk.

A więc tak wyglądał koniec...?

Niespodziewanie czarna postać zatrzymała się. Odwróciła wzrok. A potem sama odwróciła się gwałtownie, jakby ją samą coś przerażyło. Ją, niepokonane widmo? Eryka nie rozumiała. Aż do momentu, gdy chwilę później cień zniknął, zasłonięty przez rozmazujące się w pędzie sylwetki ludzi i koni, przez wznoszone przez nie tumany kurzu i rozbryzgi krwi. Narastający huk osiągnął swe apogeum. Ale nie był to huk słyszany jedynie przez Erykę. To był prawdziwy dźwięk. Dekurion potrzebowała chwili, by otrząsnąć się i zrozumieć, co widzi.

Kawaleria! Kawaleria czerwonego tymenu!

Jak burza wpadli w szeregi nadchodzącej armii. Błysnęły miecze, zachrzęściły pancerze pod uderzeniami młotów i toporów. Zarżały konie. Oni nie mogli oprzeć się kawalerii. Nic nie mogli. Dzikusy nigdy nie miały koni, chyba. Może nawet ich nie znali...

Po stronie wroga rozległy się okrzyki przerażenia, jęki rannych. Zafalowały szeregi. Ale nie na zwykłych żołnierzach patrzyła Eryka, oczy młodej dowódczyni szukały kogo innego. Czarnej plamy, przed chwilą jeszcze jawiącej się jako ucieleśnienie strachu.

I niemal od razu ją zauważyła. Włócznie kawalerzysty trafiła, gdzie miała trafić, czarna postać uniesiona pędem pofrunęła nad końmi. Przez dłuższą chwilę przypominała chorągiew, czarny sztandar trzymany przez szarżującego Wergunda, łopoczący na wietrze. A później opadła, wpadła między konie. Nie była już tą potężną kapłanką siejącą postrach wśród wojów. Wręcz przeciwnie. Gdy upadała, gdy znikła pod kopytami pędzących bojowych wierzchowców, Eryka zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie była nikim więcej jak zwykłą, drobną wręcz osobą.

Niczym zahipnotyzowana wpatrywała się w walkę. Pędząca w szarży konnica szybko wytraciła pęd. Na szerokim pasie oddzielającym pole minowe od obozowiska rozgorzała regularna

walka. Walka? To był kocioł, w którym nie sposób było ujrzeć, kto zwycięża. Raz po raz w górę wystrzeliwały pióropusze ziemi, gdy walczący trafiali na miny i pułapki, które nie zadziałały wcześniej. Hałas, huk. Okrzyki wojowników, rżenie koni, chrzęst stali, huki eksplozji...

Niespodziewanie jeden z jeźdźców odłączył się od grupy. Czerwona peleryna załopotowała, gdy podjechał w górę zbocza, w stronę pozycji magów. Nie myślała o nim, patrzyła na walkę. Do momentu, kiedy nie zatrzymał się tuż przed nią. Zakuty w ciężką, płytową zbroję jeździec przełożył młot bojowy do drugiej ręki, po czym uniósł zasłonę hełmu i spojrzał na maginię.

- Panie magniferze! – Eryka od razu rozpoznała Kaldela Strandbranda, choć jego twarz cała czarna była od kurzu i bitewnego pyłu.

- Dar Bregen! – krzyknął przez zgiełk dowódca – Masz utrzymać obozowisko! Każ magom się ładować, kupujemy wam czas! Archibald musi się w końcu zjawić!

- Tak jest! – salut Eryki był odruchem. Nie wiedziała, co innego mogłaby odpowiedzieć magniferowi. Ani nawet czy cokolwiek powinna.

Do magnifera podjechał kolejny konny. Ubrany w okularowy hełm, z podobną peleryną co dowódca, lecz przyozdobioną szerokim, białym obszyciem. Adiutant. Zatrzymał wierzchowca i spojrzał wyczekująco na Kaldela. Ów skinął mu głową, po czym odwrócił się ponownie do Eryki.

- Powodzenia – uśmiechnął się ponuro – Od teraz ty tu dowodzisz. Wszystkim. To rozkaz! – spiął konia i skierował go w stronę adiutanta – Dawaj sygnał!!! Konnica odwrót!!! Spróbujemy ponowić szarżę!

Adiutant nie czekając aż magnifer dokończy, zadał w róg. Na jego dźwięk walcząca w dole kawaleria zaczęła mozolnie zawracać i próbować wydostać się z coraz szybciej rosnącego morza wrogich wojowników. Wierzchowiec Kaldela Strandbranda zadrobił niespokojnie. Ów jednak ściągnął wodze, powstrzymując go. Odwrócił się w stronę Eryki.

- Powodzenia, pani magnifer – skinął głową w jej kierunku. A potem opuścił zasłonę hełmu, uderzył piętami w boki konia i ruszył galopem w stronę walczących, pozostawiając Erykę w niemym osłupieniu. Nie zdążyła nawet zasalutować.

Przez chwilę stała z otwartymi ustami, nie mogąc pozbierać myśli.

Pani magnifer!? Czy on... Nie!!!

Krzyki cichły powoli, tuman kurzu zakrywał pole bitwy gęstą zasłoną. Nie było wiele widać, a jednak oczy wciąż szukały tam znajomych sylwetek. Uda im się, musi się udać... Zaraz wycofają się, ponowią szarżę... A później przybędzie Archibald. Cholera, tylko czemu nic nie widać, nawet Strandbranda... Pani magnifer... On wiedział... NIE!

- Jakie rozkazy? – przebiło się pytanie. – Pani, jakie rozkazy?

Odwróciła się błyskawicznie, jak na musztrze. W myślach już szykowała reprimendę dla samej siebie. Obowiązki! Spojrzała na pytającego, potem na obóz. Chaos, tylko tak mogła to nazwać. Zbyt wielu patrzyło na walkę na dole, podobnie jak i ona. Reszta panikowała. Nieliczni wykonywali jeszcze obowiązki.

Rozkazy... Ostatnie słowa Kaldela zagrały jej w uszach. Magnifer...

- Ładować się, kto może! – wrzasnęła. – Magnifer dał nam chwilę! Wycofać lazarety jak najdalej, szykować resztkę koni! Centurioni do mnie!

Nigdy nie słyszała się takiej, wyrzucającej rozkazy niemal w tempie magicznych formuł. Odwróciły się głowy, pojawiły się saluty. Dobrze, bardzo dobrze. Ojciec byłby dumny... Nie było czasu. Zacisnęła pięści. Nie zdąży już pobrać.

- Kręgi, raz! – popędziła magów. – Ty, dziesiętniku...

- Barraster, pani dekurion.

- Dziesiętniku Barraster, osłaniasz prawą, weź jeszcze kogoś z piechoty... I trzech magów, nie więcej. Ty...!

- Centurion dar Argau melduje się...

- Daruj sobie, Argau! Bierzesz ludzi na lewą, trzy dziesiątki. Osłaniacie dolinę, więc nie przegapcie czegoś! Barraster, co ty tu jeszcze robisz?!

Nie było czasu! – krzyczała świadomość. Magowie kończyli rytuały, na zboczu znów się kotłowało. Tuman opadał. Eryka wiedziała, że nie ma już ani chwili. Ale jednak nie potrafiła nie spojrzeć. Zbocze, zdeptana, mokra od krwi trawa. I pędząca w ich stronę horda. Nigdzie nie było płaszczka magnifera. Nigdzie nie było czerwonych opasek, nie było... Był tylko wróg. A ona była sama. Pani magni... nie, nie myśl o tym – upomniała się w myślach. – Po prostu walcz!

- Magowie! – ryknęła nagle. – Tarcza! Wszyscy!

Nie poczuła łez w gardle. Nie było czasu. Zamknęła oczy, kalkulując moc. Niewiele, psiakrew! Ostatnie zaklęcie, więcej nie da rady. Ale jeśli miało to powstrzymać Qa choćby przez chwilę, choćby na tyle, by Archibald zdążył... Na południowym zachodzie zamajaczyły jakieś oddziały. To oni? Błagam, pospieszcie się! Niech Strandbrand nie zginie nadaremno! Klnąc w myślach wyrzesała formułę wraz z chórem innych głosów. Tarcza powietrza, osłona na jakąś chwilę. Archibald, cholera, gdzie jesteś?!

- Eryka!

To nie był jego głos. To nie był nawet głos mężczyzny. Dar Bregenówna potrzebowała chwili, by dostrzec biegnącą w jej stronę drobną dziewczynę.

- Ofel... Znaczy się... Jutta!? – zakrzyknęła na widok znajomej twarzy.

Co ona tu robiła? Co... Ilu jeszcze miała spotkać w tej bitwie? Ilu miała pożegnać, nim przyjdzie odsiecz? Poczula, że robi jej się zimno. Odpowiedzialność ukłuła boleśnie.

- Wiadomości dla magnifera... - wydyszała agentka wywiadu, łapiąc oddech po najwyraźniej dość długim biegu.

- Mów. Ja dowodzę.

Nie dbała o to, jak to zabrzmiało. Nie miała czasu na uprzejmości. Tarcza wzniesiona przez magów jeszcze trzymała, jakimś cholernym cudem...

- Wieści od zwiadowców – rzuciła Jutta. – Archibald... Archibald dar Bregen... – wysapała.

Eryka zamarła. Serce zadrżało niespokojnie. Wreszcie! No mów, mówże! To jego oddziały, te na południowym zachodzie! Już do nas idzie, zaraz uderzy, przyjdzie z pomocą...

- Zawrócił swoje wojska – zabrzmiało głucho. – Nie przybędzie... Zdradził...

Zimno. Dojmujące zimno jak lodowaty strumień spłynęło wzdłuż kręgosłupa. A więc klęska... Usta otworzyły się bezgłośnie, strużki lodowatego potu popłynęły po karku. Koniec... to koniec... Dłonie zadrżały, głowa pokręciła z niedowierzaniem. „Nie zmarnujcie naszego poświęcenia...” Nie, to nie tak miało się skończyć! Nogi przestały słuchać, ugięły się bez sił.

- Nie – wychrypiała. Nie wiedziała, że aż tak zdarła gardło, wykrzykując rozkazy. – To... muszą się mylić, nie widzieli dokładnie...

Oszukiwała się, sama o tym wiedziała. Gdzieś w tle padała magiczna tarcza, ostatnie oddziały próbowały odpierać szturm. Posypały się błyskawice. Gdzieś w tle. W jej głowie panowała cisza.

- Jestem pewna – zabrzmiał cichy, dziewczęcy głos Jutty. – Oddziały, które widzisz na południu, to druga armia Qa.

I cisza pękła, boleśnie jak rozbite lustro, jak odłamek lodu. Archibald... Żeby tak własną siostrę...! Nie wierzyła, wciąż nie wierzyła. Musiała. Nie, niemożliwe! Jej brat... Nie zrobiłby tego, nie zdradziłby! Zacisnęła pięści. Zrobił. Paznokcie wbiły się boleśnie. Więc Ralf... więc Berdiam... Taril... Głośno przełknęła ślinę. Kaldel... Ten młody Barraster... Na darmo...

- Wycofuj się – zachrypiało ściśnięte gardło. A teraz jeszcze Jutta... – Natychmiast, to rozkaz!

- Nie – odparła agentka. – Nawet nie mam już, jak. Za mną są tylko dzikusy...

Łza spłynęła po policzku. Nie było czasu. Ale nikt już nie zginie przeze mnie... Nikt... A na pewno nie ona...

- Lazarety! Przy nich są jeszcze konie! – nadeszło olśnienie. – Uciekaj doliną, może uda ci się jeszcze ominąć natarcie! Jutta... – szepnęła jeszcze, czując pod palcami rękojeść miecza. – Spiesz się. Ktoś musi przeżyć.

Nie czekała na odpowiedź, na protest, na cokolwiek. Nie patrzyła nawet, od razu odwróciła się na pięcie. Słyszała kroki odbiegającej Jutty, krzyki innych magów. Nadszedł czas. Nie liczyła nawet mocy, wiedziała, że nie pozostało jej praktycznie nic. Wyszarpnęła broń. Dobiegła do wału w momencie, gdy kolejna bariera zatrzęszczała, akompaniując jękom jej podkomendnych. Niepewnie spojrzała na ostrze. Nie sądziła, że będzie zmuszona do walki wręcz. To był koniec, nigdy nie była wojowniczką. Bariera trzasnęła raz jeszcze, powiał wiatr. Puszczą. Przedostaną się, psiakrew! A ona się nie obroni...

Sama nie wiedziała, kiedy jej dłoń natrafiła na manierkę. Małą, okrągłą, czasem puszczaną przy ogniskach... I kiedy jakiś głos wyszeptał jej do ucha: „Przed walką gorzałkę, nie wodę”...

- Twoje zdrowie, ojciec – uśmiechnęła się do piersiówki. – I na pohybel twojemu synkowi.

Wychyliła parę łyków, uderzenie gorąca w gardle niemal odjęło jej dech. Nie miało znaczenia. Odrzuciła pustą manierkę na ziemię. Poprawiła chwyt na rękojeści. Bariera trzasnęła ostatni raz. Wrzasnęły wdzierające się na wał hordy.

Przynajmniej nie pokażę się w zaświatach o suchym pysku – przemknęło jej jeszcze przez myśl.

Gdzieś daleko hrabia Vuel dar Bregen, dekurion czarnego tymenu, uśmiechnął się do córki.

Lato miało się ku końcowi. Dni stawały się coraz krótsze, pojedyncze liście żółciły się w koronach drzew. Bystre oczy rysia dobrze to widziały, on sam świetnie rozumiał te zmiany. Szła jesień, już nawet ptaki śpiewały o jesiennych odlotach. Niedługo wszystko miało zacząć szykować się do snu.

Wszystko poza nimi. Dwunożnymi pokrakami, które wtargnęły tu cztery zimy temu. Nie rozumiał ich, w sumie nawet nie próbował. Choć zauważył, że od tych czterech lat podczas swoich wędrówek napotykał ich w okolicy coraz więcej. Polujących na jego zwierzynę, budujących dziwne schronienia tam, gdzie kiedyś miał swoje kryjówki.

Te tutaj, na polanie, zdążył już polubić. Były wśród nich takie, które rozumiały jego zwyczaje. Znały mowę lasu, pomagały zwierzętom. Nie wtrącały się. A czasem nawet upominały innych, by nie płoszyli mu zdobyczy nocnymi obchodami.

Lata mijały. Dwunogi wciąż się tu kręciły, czasem znikając na kilka dni tylko po to, by potem wrócić, część swojego stada niosąc czy podpierając. Rys rozumiał, że pewnie bili się z jakimś innym samcem, że musieli przegrać walkę. W takim razie, czemu nie odchodzili? Czemu to nadal było ich terytorium? Czemu nadal spokojnie palili ognie i żerowali przy pieczonej sarninie?

Aż wreszcie zdawało mu się, że odchodzą. Znów podzwaniali swoim stalowym futrem, rozbierali dziwne schronienia. Zmieniali kryjówkę? Ale owo podzwanianie trwało już od kilku dni i wciąż się nie wynosili...

Tego ranka rys mimo zmęczenia po łowach nie mógł zasnąć. Kakofonia dźwięków, zapachów, nawet las krzyczał wniebogłosy. Coś działo się przy strumieniu, słyszał to dobrze. Ptaki uciekały stamtąd, wiatr niósł ostry zapach. Zapach krwi? Czegoś jeszcze. Coś dziwnego... A dwunogi na polanie biegały tam i z powrotem. Jak pozbawione matki kocięta. I jeszcze ten zapach. Zapach potu, strachu. Tę woń zwykle czuł od swoich ofiar.

- Szybciej! Ruchy! Czemu te koce jeszcze nie są spakowane? – Ekhart Altenburg wskazał na stertę materiałów leżących tuż obok ogniska, po czym wrócił do obwiązywania tobołka, którym sam się od kilku sekund zajmował. Nie lubił w ten sposób poganiać ludzi, choć wydawanie rozkazów przychodziło mu naturalnie. Tym razem nie miał wyboru. Wróg był blisko. A obozowisko zbudziło się raptem przed kwadransem.

Zamaszystym ruchem zaciągnął ostatnią z linek juków, po czym wyprostował się szybko i rozejrzał.

- Gilios, spakowałaś tamte kociołki? – zwrócił się do jednego z partyzantów, który akurat zdawał się nie mieć zajęcia – To zwijaj te koce i dawaj cywilom po jednym!

W kilka kroków przemierzył obozowisko, docierając do miejsca, gdzie wciąż leżały nosze z rannym, nad którym pochylała się jakaś uzdrowicielka. Elfka.

- Jak z nim? – spytał na tyle łagodnie, na ile potrafił. Nie za dobrze mu to wyszło, przez swój pośpiech znów zabrzmiał jak służbista – Będziecie w stanie go transportować?

- Jeszcze co najmniej kilka dni nie będzie w stanie się podnieść – jęknęła uzdrowicielka – Musielibyśmy nieść nosze...

- Daj mu szybką śmierć – westchnął z goryczą Ekhart – Nie dacie rady go zabrać. Daj mu łagodnie przejść dalej i sama leć do swojej opiekunki.

- Ale przecież...

- Nie ma czasu. Pakuj manatki i zwiewaj. Musisz przeżyć, by móc leczyć kolejnych.

Nie czekał aż elfka zrobi, co musiało być zrobione. Nie chciał patrzeć na tę scenę. Odwrócił się i skinął głową, widząc nadbiegającego w jego stronę wojownika w lekkim, skórzanym pancerzu. Ekhart znał go dobrze. Kilka minut wcześniej wysłał młodego myśliwego jako czujkę w stronę, z której nadchodzili Zapółudniowcy.

- Minęli rozstaje przy strumieniu – wysapał przybysz, z trudem łapiąc oddech po biegu – Idą truchtem.

- Mamy pięć minut... Psiakrew – Ekhart powiódł wzrokiem po obozowisku – Cywile będą gotowi za jakieś dwie... Będziemy musieli odciągnąć ich uwagę, by mogli się bezpiecznie ewakuować... – spojrzął na młodzieńca – Wołaj tu zaraz Frotsona. A ty... – skinął głową do przebiegającego akurat obok partyzanta – Zawiadom Saniriel, tę ich główną elfkę. Mają ruszać natychmiast, jeśli chcą przeżyć.

Zwiadowca skinął głową i odbiegł.

Ekhart rozejrzał się po okolicy, szukając kolejnych spraw do załatwienia i oceniając stan pakującego się w pośpiechu obozowiska. Zauważył, że przy ciele rannego partyzanta nie ma już uzdrowicielki. Nie było jednak czasu sprawdzać, czy wykonała ona polecenie. Wróg nadchodził.

Ruszył szybkim marszem w stronę Ottona Braupun. Był to drugi obok Hakona Frotsona podoficer jego partyzanckiego oddziału. Czarnowłosa, drobnej budowy Wergund kończył wydawać właśnie polecenia jakimś cywilowi. Nim jednak Ekhart podszedł do nich, rozmowa zdążyła się zakończyć. Cywil odbiegł a Braupun odwrócił się w stronę Ekharta i skinął głową w oszczędnym salucie.

- Zwołuj ludzi – zaczął bez zwłoki – Kaczuszki będą tu już za pięć minut. My poczekamy tu na nich, chwilę powalczymy, po czym ruszymy na zachód, by ich odciągnąć od cywili. Frotson weźmie garstkę i będzie eskortował ich na wschód. Cywile mają ruszyć za minutę. Kto zostanie, ten już zwiewa wraz z nami.

Braupun nie odpowiedział. Zaciśnął jedynie wargi w nerwowym zamyśleniu i potaknął.

- Jak to mamy ruszać za minutę!? – niespodziewanie za plecami Ekharta odezwał się kobiecy alt. Wzdrygnął się i odwrócił, by ujrzeć Tawanien' Saniriel. Elficka przywódczyni uzdrowicieli już któryś raz zaszła go od tyłu, omal nie przyprawiając go o zawał.

- Albo ruszycie, albo zginiecie – Ekhart nie dał po sobie znać zaskoczenia, spojrzął na nią z powagą – Odciągniemy ich uwagę, a tymczasem wy przemkniecie się do grupy Karla. Ukrywają się w lesie Michelwald, nieco ponad dzień drogi stąd. Frotson zna położenie, poprowadzi was... O, już idzie – uśmiechnął się, widząc zbliżającego się rosnącego Liryzyjczyka – Hakon, bierz ze sobą ludzi, jakąś dziesiątkę i ruszaj z cywilami na wschód, do grupy Karla.

- A reszta? – Hakon Frotson ściągnął brwi.

- Odciągniemy ich uwagę – Ekhart położył dłoń na ramieniu przyjaciela świadomy, że być może widzi go po raz ostatni – Nie zmarnujcie naszego poświęcenia. Ruszajcie szybko.

Hakon odpowiedział również kładąc dłoń na ramieniu Ekhart, po czym obrócił się na pięcie i ruszył energicznym krokiem w stronę tłumu cywili.

Saniriel przez chwilę stała z na w pół otwartymi ustami, jakby jeszcze chciała coś powiedzieć, ale po chwili najwyraźniej rozmyśliła się, gdyż ledwo zauważalnie pokręciła głową. Ruszyła za Frotsonem. Po kilku krokach jednakże zatrzymała się i odwróciła jeszcze w stronę Ekhart.

- Dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłeś, Ekharcie Altenburg – powiedziała ze smutnym uśmiechem – Niechaj Silva ma cię w swojej opiece.

- A was niech strzeże Modwit – odpowiedział jej, po czym zwrócił się do wciąż stojącego przy nim i wyczekującego rozkazów Ottona Braupun – Zbierajmy ludzi – zaordynował – Czas pobawić się w berka z kacuzzkami.

Każda sekunda wytchnienia była na wagę złota. Każdy taki moment, w którym pościg gubił trop, oznaczał dla partyzantów światełko nadziei na przetrwanie.

Ekhart oparł się o drzewo, by złapać oddech. Mięśnie błagały o litość, podobnie płuca. Miał całkiem niezłą kondycję, a i tak ledwo dawał radę. A co dopiero reszta jego grupy...

Gdy już zdołał uspokoić oddech, oderwał się od drzewa i rozejrzał po okolicy. Mała polanka otoczona ostrymi, poszarpanymi gałkami i gęstą, liściastą roślinnością nie mogła posłużyć im za schronienie na długo. Zwłaszcza, że ścigający ich oddział Zapołudniowców był wciąż niedaleko.

Powiodł wzrokiem po towarzyszach broni. Z oddziału liczącego w chwili rozstania się z cywilami przeszło pięćdziesięciu wojowników ostała się niespełna dziesiątka. W ciągu trwającego już kolejny dzień pościgu zdążyli polec nawet najwięksi weterani.

Otton Braupun padł już na samym początku, gdy grupa przypuściła atak na oddział Zapołudniowców, aby odciągnąć ich uwagę przed uciekającymi cywilami. Wraz z nim zginęło jeszcze pięciu kolejnych. Następni polegli już w ciągu następnych kilku dni, gdy pod wodzą Ekhart uciekali przed prześladowcami.

Rozpacz po stracie towarzyszy broni łagodziła obecność kilku nowych, zgarniętych po drodze uciekinierów. No i świadomość, że tamtego poranka podstęp najwyraźniej się udał. Absolutnie wszyscy przybyli Zapołudniowcy ruszyli za partyzantami. Cywile prawdopodobnie zdołali uciec niezauważeni. Przy odrobinie szczęścia wszyscy powinni być już bezpieczni w lesie Michelwald pod opieką ludzi Karla dar Khavena.

- Dobra – Ekhart otrząsnął się z chwilowego zamyślenia – Nie możemy się zasiedzieć, kacuzzki nie będą na nas czekać. Ktoś się orientuje gdzie mniej-więcej jesteśmy?

- Ze wzgórza widziałem światła osady – po chwili ciszy odezwał się jeden z partyzantów – Ferrbis, o ile się nie mylę.

- Ferrbis? – spytał ktoś inny – Więc zapędziliśmy się aż na Przełęcz Virańską?

Ekhart uniósł dłoń, nakazując milczenie. Potrzebował zebrać myśli.

Tak, sam pamiętał widok miasteczka. Tyle że na chwilę obecną dokładnie między nimi a owymi zabudowaniami znajdował się zagon Zapołudniowców. W tym momencie pójście w tamtą stronę oznaczałoby śmierć. Może obejść górami?

- Z całym szacunkiem – zabrzmiał dyplomatyczny ton któregoś ze szlachetnie urodzonych. – Jakiś czas temu, zanim jeszcze przerwano łączność z Przełęczą, słyszałem, że był tu spory punkt oporu... Jeśli jeszcze się trzyma...

- Łatwo tam nie dotrzemy... – mruknął Ekhart – Ale jeśli rzeczywiście jesteśmy już w zasięgu wojsk Przełęcz, to niedaleko powinny być jakieś ich posterunki. W nich nasza nadzieja.

- Nie mamy nawet pewności, czy jeszcze istnieją – wysapał jeden z partyzantów.

- Albo, że nie zdradzili. Mało to mamy zdrajców w naszej pięknej Wergundii? – dodał inny z ponurym, ironicznym uśmiechem, poprawiając pasek naramiennika.

- U zdrajców na pewno nie będę szukał schronienia! – oburzył się któryś z młodszych członków grupy.

- Nie mamy wyboru – Ekhart wzruszył ramionami po czym ukląkł, by poprawić rzemyki w jednym bucie – Wiecie, w jakim jesteśmy stanie. Zresztą... I tak musimy się dowiedzieć, kto kontroluje drogę na przełęcz teralskie. A jeśli wojska na Przełęcz są wierne Pólnocy, będziemy mogli się do nich przyłączyć, przegrupować i kontynuować walkę.

- A jeśli plotki są prawdziwe? – odezwał się głos z tyłu. – Jeśli faktycznie władą tu jakiś despota i samozwaniec?

- Nie będę walczył pod sztandarem kogoś takiego!

- Milczeć! – Ekhart Altenburg skarcił wzrokiem podkomendnych, po czym wskazał na gąszcz – O ile nie chcecie skończyć ze strzałą w tyłku...

Nie musiał podnosić głosu, by go posłuchali. Podczas tej ucieczki zdążył już wyrobić sobie autorytet. Westchnął i wyprostował się. Wokół panowała cisza.

- Nie mamy wyboru – powtórzył cicho. – Prowiant jest na ukończeniu, ludzie padają. Nawet jeżeli będziemy wycofywać się dalej, musimy zejść na Przełęcz. Przed wojną panował tu ród Domitius, jeśli nadal tu są, nie mamy się czego obawiać. Wręcz przeciwnie, powinni udzielić nam pomocy. Jeśli nie... cóż, i tak musimy zasięgnąć języka. No i trzeba przeżyć. Jak zawsze.

Cisza trwała. Nikt nie odezwał się, mimo że dowódca skończył mówić. Wyciągnął manierkę, puścił w obieg. Wiedział, że traci czas. Ale zyskiwał morale.

- Łyk – rzucił, patrząc na zmęczone twarze. – I ruszamy. Jeszcze nie zwialiśmy kaczuszkom.

Grupa ze znikomym zapalem ruszyła za przywódcą. Gdziekolwiek widać było jęki niezadowolonych. Ale gdy wydał rozkaz, pobiegli. Znowu.

A jeszcze nim wbiegli między zarośla, Ekhart mógłby przysiąc, że usłyszał z daleka okrzyk zbliżających się Zapołudniowców.